

# OFFICIUM

Agnieszka Salamon-Radecka

Tej jesieni Paweł Napierała zaprasza do swojego *officium*. Prezentacja na kształt, może wcale niezamierzonej retrospektywy, obejmuje zarówno obrazy namalowane jakiś czas temu i pokazywane już publicznie, jak i zupełnie nowe, nikomu prawie jeszcze nie znane. Dużych rozmiarów męskie akty, portrety trumienne i te najbardziej intymne, abstrakcyjne, pejzażowe miniatury. Atrybuty *officium* - miejsca, w którym "urzęduje" malarz. To także w sensie symbolicznym dziedzictwo sztuki minionych epok, z której czerpie inspiracje, z którą prowadzi swój własny, indywidualny dialog. *Officium* ma też drugie, równie ważne znaczenie - to obowiązek, powinność. Warto o tym pamiętać, bowiem w przypadku twórczości Pawła Napierały nieodparcie narzuca się wrażenie, że malowanie stało się jego powinnością. Wobec kogo chciałoby się zapytać - wobec siebie samego, wobec świata albo może wobec tej siły niepojętej, która za każdym razem każe mu chwytać za pędzel? Odpowiedź na to pytanie nie jest już ani tak oczywista, ani tak istotna... Ważne, że ciągle możemy oglądać tego efekty w postaci nowych fascynujących i intrygujących prac.

Podobno każdy (lub prawie każdy) historyk sztuki, czy to czynny zawodowo, czy też wybierający inną, mniej wyboistą i ryzykowną ścieżkę kariery, u początku swej drogi przyszłego teoretyka jest niespełnionym artystą. Takim, któremu czegoś zabrakło - wiary w siebie, szczęścia, wytrwałości, a nierzadko po prostu talentu, by się jako ów artysta spełnić. Bywają jednak wyjątki, potwierdzające tę w sumie pesymistyczną regułę - historycy sztuki równie sprawnie, jak teorią, posługujący się pędzlem i paletą malarską. Zdarzają się nawet i tacy, którzy wiedzę teoretyka łączą z praktyką konserwatorską, co pozwala im na głębsze obcowanie z materią dzieła sztuki.

Obrazy Pawła Napierały to pełna fascynacji rozmowa z tradycją, zdradzająca jego preferencje jako znawcy i odbiorcy sztuki przeszłości, nie tylko na poziomie estetycznym, ale i technologicznym. Jego prace ciągle zaskakują perfekcyjnym warsztatem malarskim, dzięki któremu używając tylko farb akrylowych osiąga efekty, jak z najlepszego olejnego malarstwa pierwszorzędnych mistrzów - delikatne laserunki, poźółkły (choć nie ze starości) werniks, subtelne, przytłumione zestawienia kolorystyczne... U początków każdego z tych obrazów leży wybór właściwego podobrazia - zazwyczaj są to autentyczne stare kawałki płócien, nierzadko pozszywane, posklejane i potatane. Te wszystkie ślady szwów, łąty, jak "plasterek" z inskrypcją naklejony na jednym z obrazów, zmarszczenia (pod pełną kontrolą). Poszarpane krawędzie płócien, jakby zdjęte w dramatycznych okolicznościach z blejtramu. Ułamane

krawędzie deseczek, na których powstały miniatury. Spękania i zgrubienia warstwy malarskiej - wszystko to przywodzi na myśl dwudziestowieczne malarstwo materii. Nie pozwala zapomnieć, że każdy z obrazów oprócz ideologicznego wymiaru, ma też ten, zmysłowy, nietrwały, ulegający destrukcji. Pierwotnie już leciwe, ulegają jeszcze dodatkowej patynie - nie zawsze autorami drobnych otworków w deseczce, na której powstał piękny pejzaż, były korniki - część z nich wykonał sam malarz specjalnie dobranymi narzędziami. Punktem wyjścia staje się więc odpowiednio stare lub też postarzone podobrazie, w taki sposób by z jednej strony podkreślić materialność pracy, a z drugiej destrukcję, jaką nieuchronnie niesie ze sobą czas. Nawet jeśli jest to częściowa mistyfikacja, to jest ona mistrzowska. Na tak spreparowanym podłożu powstaje następnie kompozycja, która również już jakby u swoich początków poddana została procesowi destrukcji. Te wszystkie rozmywające się sylwetki nagich mężczyzn, których rysy twarzy zatępiły się i tym sposobem odeszły w nicłość. Portrety trumienne, na których nie ma już wizerunków tylko ich ślad...

Nie lada to wyzwanie ze strzępów sztuki innych stworzyć własną, oryginalną wizję, która dodatkowo niesie istotny przekaz. Czy może też codzienne obcowanie z ulegającymi zniszczeniu dziełami sztuki (któż lepiej może to znać, jak nie konserwator) - uczy pokory i dystansu wobec świata, bolesnej często terażniejszości, bezmyślnych bliźnich a na koniec wobec samego siebie - drobnych słabostek, zaniechań, czy niezdrowych ambicji? Czas przecież wszystko zaciera i zamazuje. Kontury stają się nieostre i zamglone. Płomienne kiedyś hasła stają się pustymi nic nie znaczącymi zbiorami słów, w niepojętym już, jak łacina czy greka, współcześnie języku. Postaci nie mają już twarzy, jakby stały w przejściu między światem realnym a tym innym, nieznanym... Wszystko powoli się ulatnia. Dematerializuje. Nawet z portretów trumiennych pozostały jedynie kształty podobrazi. To, co miało stanowić o ich sensie - wizerunek zmarłego wydarty śmierci - ulotniło się. W ten sposób nadanie nieśmiertelności poprzez sztukę także stało się iluzją. I tak ostatecznie zwyciężyła destrukcja... *Vita brevis* to wiadomo, ale czy na pewno *ars longa*?

Może trochę przesadzam, bo już widzę mrugnięcie okiem autora, lekki półuśmiech, ironię i drwinę wyzierające z co poniektórych płócien, bo przecież do wszystkiego trzeba mieć odpowiedni dystans. Może to ta pora listopadowa nastraja mnie do takich rozmyślań i wniosków, ale dla mnie malarstwo Pawła Napierały przede wszystkim opowiada o przemijaniu...

A jaką opowieść usłyszą Państwo? Proszę się przekonać osobiście...